

# P IASTOWSKIE WABAŁO



Łukasz Malinowski

LITERATE

# Spis treści

## Księga I

4

## Księga II

193

## Księga III

358

*Pudicus* (łac.) – wstydlivy, obyczajny, powściągliwy, czysty.

*Skoro zaś król Bolesław chciał wyruszyć z miasta Kruszwicy celem przeprowadzenia swojego zamiaru, na szczycie kościoła św. Wita ukazał się młodzieniec nadzwyczajnej piękności, którego cudowny blask nappełniał przedziwnym światłem nie tylko samo miasto, lecz także należące do niego pola. Ten to młodzieniec, zeskoczywszy na oczach wielce zdumionego tłumu ze szczytu kościoła i idąc na czele, prowadził wojsko prostą drogą w stronę Nakła, aż przybywszy pod miasto Nakło, rzucił na miasto z rozmachem złoty oszczep, który trzymał w ręce, i znikł.*

*Kronika Wielkopolska, rozdz. 25, tłum. K. Abgarowicz*

# KSIĘGA I

w której umiera pan Wawelu  
i rodzi się książę Krakowa.

## Listopad i grudzień roku Pańskiego 1227

Główkę swoją zadarło to maleńkie dziecię i spojrzało na mnie, bo jestem Pięknym Młodzieńcem. Uśmiechnąłem się do niego, a ono pomachało rączkami i nóżkami, radując się całym sobą. Moja opieka przyda mu się teraz, bo w ten deszczowy listopadowy poranek ojca jego mordują. I już stało się sierotą, w tej właśnie chwili, gdy wypowiedziałem słowo „śmierć”.

Mrugnąłem i przeniosłem się w miejsce mordu, pod Gąsawę, gdzie w rowie leżało nagie ciało xiędza Lestka o jasnych jak słoma włosach. Ulewa obmywała jego zakrwawione członki, choć ledwo chwilę temu leżał bezpieczny w balii z gorącą wodą, a nierządnicą z plemienia Lilith masowała jego wstyd.

Nie zorientował się mój pan nieszczęsny, że na jego życie dybie Świętopetek, łaską Lestka uczyniony wielkorządcą Pomorza. Podły ten wąż przysięgę wierności złamał i zamiast swego księcia miłować, znienawidził go i zakradł się o brzasku wraz z wojskiem na zjazd w Gąsawie, gdzie władca Małej Polski z duxem śląskim Henrykiem i innymi możnymi panami radzili nad losem ziem lechickich i także się bawili. Po jednej z kłótni i popijaw Lestek bladolicy udał się do łaźni, by dojść do zdrowia w towarzystwie kurwiczek, a kiedy przysnął w ich objęciach, przez opary zakradli się do niego zbójcy, mylnie ry-

cerzami zwani. Pierwszy z mordercy poślizgnął się na mokrych kamieniach i tylko dlatego jego cios ledwo drasnął Piasta w ramię, za to rozchlaśtał szyję wtulonej w niego dziewczki. Lestek zerwał się, zrzucił z siebie trupa, pochwycił oręż i jał dzielnie stawać, ale wrogów przybywało, a na pomoc ruszyła mu jeno garstka wiernych rycerzy. Lestek nie poddał się jednak, tylko śmiało ruszył do przodu, nie wstydząc się nagości, i przedarł się przez oprawców. Wybiegł z łaźni, dopadł koni i w towarzystwie pięciu zbrojnych pognał traktem ku wsi Marcinkowo.

Princeps wbijał pięty w końskie boki tak mocno, jakby miał na sobie rycerskie ostrogi, ale nie ujechał daleko, bowiem słudzy węża Świętopępka urządzili na niego obławę. Dopadli jego drużynę, okrążyli ją zgoła setką ludzi i zaczęli bić. Miecze ukąsiły końskie grzbiety, topory uderzyły w tarcze, włócznie ugodziły kolczugi. Rumak księcia stanął dęba i podkutymi kopytami uderzył w szyszak pieszego zbója, miażdżąc żelazo i wbijając nosal w jego szkaradną gębę. Inny zbrojny ugodził ogiera w brzuch, a lechicki Bucefał zarżał, wierzgnął i padł, przygniatając Lestka do ziemi. Princeps ledwo się wygramolił spod zwierzęcego ciała, a już cep bojowy zamłócił o jego nienawykłe do pokłonów plecy. Oprawca w kolczym kapturze kopnął Piasta w bok, obrócił go twarzą do nieba, pokazał mu swą gębę naznaczoną krostami po ospie i wraził w jego podbrzusze zimny, ociekający wodą miecz, który winien być znakiem rycerskiej prawości.

Trzech krakowskich rycerzy padło w obronie księcia, ale dwóch innych, widząc beznadziejną sytuację swojego pana, pierzchno w stronę lasu. Nie ścigano ich, wszak dorwano już tego, o którego toczyła się zwada.

Po chwili odjechali również oprawcy, uzyskawszy, co chcieli.

I zostałem sam, ja, Piękny Młodzieniec opłakujący swojego podopiecznego, który charczał i dygotał w błocie pośród pogiętych hełmów, ułamanych drzewców, strzaskanych tarcz i końskich oraz ludzkich zwłok. Mój pan, sponiewierany i zhańbiony. A taki był pewny siebie, taki dumny, że inni książęta mu się kłaniają i go słuchają, bo przecież władza dzielnicą senioralną i ledwo krok dzieli go od zjednoczenia ziem polskich, tymczasem okazał się ślepcem, którego pycha doprowadziła do upadku. Towarzyszyłem mu do ostatniego tchnienia i śledziłem jego myśli biegnące ku synkowi, którego nie tylko osierocił, ale i naraził na śmierć, gdyż teraz wilki zaczęły szczyrzyć zęby ku niemu. I z tym żalem do samego siebie skonał *princeps Poloniae*, a nad smutną jego dolą uzaliło się niebo strugami deszczu, tak jak niegdyś płaczące niewiasty litowały się nad skatowanym ciałem Pana Krysta.

Zamknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, znów byłem na piętrze palatium w surowo urządzonej izbie i siedziałem na belce u powały nad kołyską mojego nowego gospodzina. Bolesława, syna Lestka. Dziecię zacisnęło piąstki, wygięło usteczka i oczy łzami zrosiło, gdyż z mego pięknego lica wyczytało, jaki był koniec żywota księcia krakowskiego Lestka. I zaczęło chlipać i kwilić głosem powołanym do rządzenia, a teraz zmuszonym do śpiewania pieśni żałobnych.

Przybiegła piastunka i przyłożyła obfitą pierś do jego usteczek, ale ono odwróciło główkę, uderzyło cyce rączkami i wzgardziło nimi, albowiem żalości takiej nie leczyło się mlekiem. Niewiasta polała sutek miodem pitnym, by ten ukoił smutek i sprowadził sen, ale malec nie dał się nabrać na ten podstęp. Uniosła więc rąbek dziecięcej sukni i powąchała brudę, ale jej nos nie znalazł

w lniaanej pieluszcze żadnej przykrości, za to maluch, rozdrażniony poniewieraniem, jął zawodzić jeszcze głośniej, zdradzając heraklesową siłę drzemiącą w kruchych piersiach. Córa Ewy wzięła dziecię na ręce, przytuliła je i ukołysała, okazując namiastkę matczynej miłości, choć miłości udawanej, albowiem jej myśli bie-gły ku własnemu synkowi, którego zostawiła w zimnej chałupie pod opieką starszej dziatwy. Zastanawiała się, czy on też płacze, a ja szepnąłem, że tak właśnie jest, bowiem wszystkim niemowlętom w grodzie Kraka nakazałem opłakiwać śmierć ich ukochanego xiędza Lestka.

Na nic zdały się kojące śpiewy, na nic pokrzykiwania, na nic gruby palec w dziecięcej buzi. Nie pomogły podskoki, głupie miny, gęganie i kwakanie. W sercu piastunki zakiełkowała złość, która zakwitła i wydała owoc w postaci straszliwego krzyku i jeszcze gorszej intencji. Gruba baba przytuliła mocno Pia-sta, wcisnęła jego rozwydrzone usteczka w rozpasane cielsko i na jedną, króciutką chwilę stłumiła płacz, a ja poczułem w pier-siach ból mego gospodzina, który nie mógł zaczerpnąć oddechu. Ukazałem jej swe piękne oblicze promieniujące słusznym gniewem, co sprowadziło na nią opamiętanie. Odstawiła dziecko od sadła, a ono nabrało powietrza i zakwiliło jeszcze donioślej, jakby chciało ukarać wyrodną opiekunkę. Kobieta uznała swą winę, przyjęła napomnienie i sama popadła w rozpacz. Łza zakręciła jej się w oku, a wstyd ścisnął gardło. Próbowwała wyprzeć z głowy pamięć o swych niegodziwych myślach, lecz moje obli-cze przypominało o jej hańbie.

Hałas postawił na nogi wszystkich w palatium. Do izby we-szła księżna Grzymisława odziana w prostą błękitną suknię. Dumna spadkobierczyni synów Ruryka, w której żyłach płynęła



krzew okrutnych pogańców z Północy, stąpała boso po kamiennej posadzce. U szyi zwisał jej ciężki złoty krzyż, a w rękach trzymała swój psalterz, gdyż ledwo wstała od porannych modlitw. Na widok dziecka bujanego na rękach pokręciła głową i wskazała palcem na kołyskę.

Skarcona piastunka położyła dziecię do sosnowej skrzynki przyozdobionej u wezgłowia prostym krzyżykiem nadającym jej wygląd małej trumienki, jednak nawet delikatny dotyk bobrzych i gronostajowych futerek oraz ciepło czerwonego kocyka nie przyniosły Bolusiowi ukojenia. Rodzica zbliżyła dłoń do czerwonej od płaczu twarzyczki i lodowatym kciukiem nakreśliła znak krzyża na dziecięcym czole. I ta pieszczota na nic się zdała, zatem Grzymisława przysiadła na zydlu, otworzyła książeczkę i zaśpiewała *Venite exultemus*, starając się przekrzyczeć księcia. Ale choć ta piękna pieśń mówiła o chwale Boga Ojca, to maleńki xiądz nie znalazł w niej pocieszenia. Nie pomógł również *Pater noster*, jakby to zdolne dziecię już znało *lingua latina* i na wzmiankę o tacie w tym większą wpadało rozpacz. Dopiero gdy rodzica przywołała z pamięci słowa planktu na śmierć pierwszego Bolesława zwanego Sławnym i wyśpiewała je smutnym głosem, berbec zaczął się wyciszać i w końcu zamilkł, gdy w zimnej izbie rozległy się słowa stosowne do okazji:

*Wy, matrony, swe korony rzućcie niepotrzebne!  
W kącie schowajcie stroje cenne, złociste y srebrne  
W suknie strójcie się włosienne, żałosne y grzebne!*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Fragment *Pieśni o śmierci Bolesława* autorstwa tak zwanego Galla Anonima w tłumaczeniu Józefa Birkenmajera z drobnymi zmianami językowymi. Gall Anonim, *Kronika polska*, Wrocław 2003, s. 38.

Matka pokiwała głową, zadowolona z siebie, choć to raczej mnie winna dziękować za wyciszenie syna, bowiem ukazałem mu swe promieniujące oblicze, uśmiechnąłem się do niego i wyszeptalem, że żalność spełniła już swoje zadanie: obwieściła śmierć Lestka Piasta i od teraz to inni zajmą się lamentami. Oddech dziecka zwolnił, łzy osuszył wiatr dostający się przez szpary w okiennicach, a piąstki się rozluźniły. Mały dux włożył rączkę do buzi i zasnął.

Mrugnąłem i przeniosłem się na dach kościoła Świętego Michała wzniesionego w obrębie wawelskiego grodu. Lubię dachy świętych przybytków. Niegdyś zdarzało mi się przesiadywać na zikkuratach, bożnicach i meczetach, a szczególnie wygodnie stróżowało mi się na Akropolu, Panteonie i oczywiście na wieżyczkach świątyni Salomona. W Lechii miałem do wyboru kolegiaty, bazyliki, kaplice i rotundy w liczbie wcale nie małej. Na samym wzgórzu wawelskim odpowiadało mi siedem dachów, a łącznie z najbliższą okolicą grodu było tutaj dwadzieścia osiem przybytków Pana Krysta.

Przykucnąłem na kalenicy, skąd miałem widok na cały gród otoczony ziemno-drewnianym wałem i na Otok, to jest obwarowane podgrodzie, gdzie zamieszkiwali włodycy, duchowni i kupcy. Dalej leżały osady wolnych kmieci i wsie służebników, a między sadybami wiły się Wisła, Rudawa i Prądnik zasilane dziesiątkami potoków i strumieni. Nurty rzek napędzały rozliczne koła młyńskie, a jeziora i połączone kanałami stawy tworzyły raj dla rybaków i wędkarzy. Niemal u stóp Wawelu znajdowała się wyspa, a na niej wieś Bawół z łąkami do wypasu bydła, garbarniami, rzeźniami i jatkami. Wrony przesiadywały na Bagnach Żabiego Kruka, gdzie gniły szczątki *draco*, a pieczę

nad tym, aby przeklęty ten całożerca nie powstał z martwych, sprawowali Michał i Jerzy, którym wzniesiono kościoły na wawelskim wzgórzu. Aż po horyzont rozciągały się żyzne pola, teraz przykryte lekką warstwą śniegu, oraz lasy i strzeliste góry, gdyż zaprawdę był to kraj rozległy i bogaty.

Dostrzegłem rycerza na spienionym koniu, który gnał wiślańskim gościńcem. Potrącił zagrodnika niosącego chrust, rozgonił stado kaczek i dopadł do południowej bramy. Strażnicy rozstąpili się przed nim, a ten popędził dalej, pod górkę, aż do samego palatium, gdzie zsiadł z konia. Znałem już wieści, które przywiózł, a teraz, po trzech dniach od napadu żałości małego Bolesława, poznali je wszyscy. Książę Lestek został zamordowany.

Dobre mam ucho, więc nie musiałem opuszczać kalenicy, by usłyszeć poruszenie przechodzące w pomruk gniewu i płacz. Wkrótce lament zaczął się rozchodzić po całym Krakowie, niczym zaraza, i nie zatrzymały go wały ani śnieżyce, gdyż rychło dotarł do okolicznych grodów i wsi.

Cztery razy opuściłem i uniosłem me piękne powieki i cztery dni minęły. Zobaczyłem zbliżający się do stolicy Małej Polski pochód, a w jego centrum otwarty wóz ciągnięty przez cztery przystrojone czarnym sukniem konie, na którym leżało ciało princepsa Lestka. Z grodu wyszła druga procesja złożona z rzeszy duchownych, możnych i rycerzy w błyszczących pancerzach, prowadzona przez bosą Grzymisławę w zgrzebnej sukni. Ducissa nie roniła łez, raczej złościła się na pana męża, że zostawił ją na pastwę wrogów, choć wcale nie samą, gdyż nawet teraz miała ze sobą dziecię, przyszłego pana tych ziem, które trzymała za rączkę. Mój gospodzin szedł pewnie jak na wiek ledwo

przekraczający roczek, a w przeciwieństwie do matki nie nosił żałobnych szat ani sukni dziecięcej, tylko strój istic królewski, na który składały się buciki z cielęcej skóry, spodniki z wełny, lniana tunika wyszywana złotą nicią i purpurowy płaszcz z gronostajowym kołnierzem. Cały ten przepych miał dobitnie pokazać poddanym, że dla Bolusia skończyło się dzieciństwo, a pod jego rządami dla dzielnicy nadejdą nowe, lepsze czasy. Mały książę, cierpiący z powodu ojcowskiej lekkomyślności, potknął się trzy razy, ale dzięki mocnemu uściskowi matczynej ręki ani razu nie upadł. Także on nie płakał, gdyż ja, Piękny Młodzieniec, szedłem obok niego i zapewniałem uśmiechem, że wszystko będzie dobrze.

Oba pochody spotykały się na gościńcu, pięćset kroków od umocnień grodu, w tym samym miejscu, gdzie wiele lat temu, przy zaślubinach książęcej pary, odbyło się inne ceremonialne powitanie, tyle że wtedy to Lestek wychodził po Grzymisławę, no i był lekko pijany, a nie martwy. Księżna dotarła do wozu wyścielonego złotogłowie, barwnymi sukniami i marami, na których spoczywał okryty całunem xiądz. Uchyliła tkaninę, sięgnęła po dłoń małżonka, z trudem uniosła ją do ust i pocałowała. Po tej pieśszczocie na powrót zakryła ciało i posadziła Bolesława na wozie, słusznie się lękając, że ten mały książę mógłby jednak nie dojść o własnych siłach do grodu i marudzeniem zburzyć mir o swojej przedwczesnej dojrzałości. Wdowa stanęła obok wozu i na jej rozkaz połączone grupy ruszyły ku grodowi.

Rozpoczęły się egzekwie. Kondukt żałobny poprowadziła książęca drużyna, czyli dwudziestu konnych pancernych, którzy groty włóczni trzymali wysoko, a głowy nisko, albowiem zawiedli w godzinie próby i nie ochronili księcia. Dalej ciągnęli wo-

jacy w czerni, a za nimi chorążowie wymachujący umieszczonymi na włóczniach proporcami. Wśród znaków podległych księciu ziem i *signa militaria* przybyłych na pogrzeb rycerzy znalazły się gołębie, gryfy, pawie i orły piastowskie ze zdartym dziobem i skrzydłami zaciśniętymi w pięści, lwy stojące na dwóch łapach, półksiężyc z krzyżykiem, dach katedry i wizerunek Świętego Wojciecha, a na jednym z proporców widniała prawica Opatrzności przypominająca dłoń Pięknego Młodzieńca.

Za swymi włodykami na białym rumaku jechał dux Lestek Kazimierzowic, choć oszukańczy, bo wcielił się w niego Klemens z Ruszcy, przystrojony jak *princeps Poloniae* w książęcą kolczugę, tunikę i hełm stożkowy z wachlarzem pawich piór. Po śladach kopyt pozostawionych w lekko zaśniewanym błocie szli mężowie ze świecami, mnisi, zakonnice i kanonicy we wronich barwach, którzy śpiewali pieśni żałobne i łzami obmywali trakt dla wozu pogrzebowego. Spoczywali na nim dwaj moi panowie, poprzedni i obecny, oraz Ja, Piękny Młodzieniec, kucający za malcem i głaskający go po główce, ażeby go zapewnić o swoim nad nim czuwaniu. Gdy koło wozu najechało na kamień, cała nasza trójca podskoczyła, wzbudzając lęk, ale też, ku memu oburzeniu, nieśmiałe uśmiechy na gębach niektórych włodyków, rzemieślników, kmieci i służebników, co to tworzyli stale rosnącą ciżbę snującą się za pojazdem.

Procesja dotarła do bramy Otoku i ruszyła do podgrodzia, gdzie czekał kolejny legion żałobników. Na widok ciała ukochanego xiędza niewiasty zapłakały i zaczęły lamentować z taką mocą, że rwały sobie włosy z głowy i rozdrapywały twarze, mężowie zaś padli na kolana i jęli rozdziewać szaty, a rozpacz jednych i drugich stała się jeszcze okazalsza, gdy z szeregu dworzan wystąpiło

dwóch mężczyzn z misami wypełnionymi monetami i cisnęło denarami pod nogi najgorliwszych żałobników. Trasa pochodu wiodła od kościoła do kościoła, a wóz zatrzymywał się przy każdym z nich. Wdowa wraz z innymi wiernymi modliła się u wrót świątyni, zaś po skończeniu pacierzy dworzanie ściągali z wozu po-grzebowego drogocenne sukna i składali je na ręce duchownych.

Tłum dotarł w końcu do bramy wawelskiego grodu, przez którą przepuszczono już tylko niewielką część żałobników. Nieboszyk został ściągnięty z wozu i dalej poniesiono go marach. I ja więc opuściłem gniazdko uwite w złotogłowiach i ruszyłem pieszo obok księżnej wdowy, trzymając mego Bolusia za rączkę, a nasze uszy zalała nowa fala śpiewów i lamentów dobywających się z gardeł książęcych ciurów, dworzan i stróżów. Cała nasza trójca weszła do palatium z garstką duchownych i rycerzy nio-sących swego poległego pana. Złożyli oni mary z ciałem xiędza Lestka na środku sali głównej, gdzie jeszcze niedawno zasiadał na tronie i przyjmował gości.

Nastał pusty wieczór, a po nim pusta noc.

Reszta żałobnych katuszy została memu gospodzinowi oszczędzona. Boluś został odprawiony na górę, do izby tuż nad salą główną. Po jego policzku spłynęła łza, gdyż służba wyniosła ko-łyskę, a wniosła twarde łoże. Z matczynego rozkazu skończyły się dla niego wygody dzieciństwa. Wychodzący ciura zdmuchnął świecę i zamknął drzwi. Zostaliśmy sami. Malec położył się do łóżka, nakrył niedźwiedzią skórą i skulił się, drżąc z zimna i smutku. Pogłaskałem go po główce i by pomóc mu zasnąć, po-cząłem opowiadać, co działo się pod nami.

Pan ojciec leżał na wznak na wyścielonych drogimi suknamি marach. Nie przykrywał go już całun, toteż wszyscy mogli oglą-

dać jego blade wargi, zapadnięte policzki, długie, rozścielone na poduszce jasne włosy i zamknięte aż do Sądu Ostatecznego oczy. Dux do snu wiecznego odziany został w wyszywaną złotem tunikę i podszyty adamaszkiem płaszcz z grubego sukna karmazynowego. U stóp położono mu rycerskie ostrogi, przy głowie książęcy diadem, a w złożone na piersi dłonie włożono rękojeść obnażonego miecza, którego sztych sięgał niemal kolan. Wokół mar ustawiono dwanaście wysokich świec łojowych, a ich blask odbijał się od surowych, kamiennych ścian palatium. Dym z palonych kadzideł wznosił się panujący w pomieszczeniu półmrok, ale zabijał też fetor kilkunastu zwłok. Mimo grudniowej nocy i pierwszego śniegu za oknami w sali nie było wcale zimno, bowiem pod posadzką, w umyślnie zbudowanym pomieszczeniu grzewczym, rozpalono piece, które przez kanaliki i szpary w kamieniach rozprowadzały gorące powietrze w komnacie głównej.

„Gdy kota nie ma, myszy harczą” – tak się niegdyś mówiło albo mówić będzie, a w tym wypadku należałoby rzec: „Gdy książę umrze, poddani spiskują”. W Wielkiej Sali panował żalobny nastrój, głosy modlitw nie cichły nawet na chwilę, mimo to słyszałem szepty i widziałem gesty, które nie miały nic wspólnego z pobożnością. Przelotne uśmiechy, fałszywe ukłony i porozumiewawcze muśnięcia dłoni. Poznałem wstrętne knowania żalobników, ich udawaną życzliwość wobec mojego gospodzina. Pozornie pragnęli roztoczyć opiekę nad maleńkim Panem Krakowa, cały czas jednak zerkali na puste książęce krzesło stojące przy wschodniej ścianie komnaty.

Na razie kości w swej dłoni trzymała Grzymisława. Niewiasta przywdziała strój skromny, ale tytuł wielki, słudzy zwali ją

bowiem *ductrix Cracoviae et Sandomiriae* albo *ducissa Poloniae*, to jest księżną całej Polski. Władczyni nawet na krok nie odstępowała mar, przypominając obecnym, jak ważną funkcję pełniła u boku swego umiłowanego Lestka, a przy swych bokach miała uczonego biskupa Iwo Odrowąża, przewodniczącego w modłach, oraz wojewodę Marka z rodu Gryfitów. Jakżeby obaj chcieli być ojcami dla mojego gospodzina i pomóc matce w jego wychowaniu. Sprawiedliwy byłby to triumwirat i z pewnością lepiej by się skończył niż ten z udziałem Juliusza Cezara, mego dawnego podopiecznego.

Inni szeptali jednak: „Nie godzi się, aby obcy sprawowali pieczę nad tym dzieciątkiem, skoro tak wielką ma rodzinę”. Albo: „Piastowie dbają o swoich”, a mówiąc to, nawet nie okazywali wstydu, choć przecie jeden z nich leżał właśnie ubity i niepomyszczony.

Najdosadniejsze żądania wysuwał Konrad, książę ziemi mazowieckiej i brat zmarłego Lestka, choć nie czynił tego osobiście, tylko przez swego syna Kazimierza. Szesnastoletni Kaziu niedawno został pasowany, więc teraz pysznił się ostrogami, rycerskim pasem, błyszczącą kolczugą oraz haftowaną tuniką i z właściwą swemu wiekowi głupotą mienił się równym wszystkim piastowskim władcom. Jeszcze przed egzekwiami ogłosił, że jego wielki ojciec wypełni narzucony mu przez tradycję obowiązek i weźmie w opiekę tak bratową, jak i bratanka, sam zaś Kaziu z najwyższą przyjemnością nauczy małego kuzyna rycerskiego rzemiosła. Podczas czuwania przy marach próbował płakać po męsku, to znaczy rzewnie, ale przy zachowaniu zaciętego wyrazu twarzy i wyprostowanej sylwetki, żeby wyglądać na duxa litościwego, lecz dumnego. Nikt nie dał się nabrać



na tę pozę. Wybiegam myślami w przód i widzę go na uczcie pogrzebowej, jak krzyczy, że on i jego ojciec pomszczą śmierć Lestka i ubiją zdradzieckiego Świętopełka, samozwańczego księcia Pomorza. Mówi jednak o tym tak głośno i tak często, że nikt nie wierzy w jego słowa, a gdy w końcu wpada pod stół napity winem, uznaje się te obietnice za pijackie przechwałki.

Ponownie ojcem chciałby też zostać Henryk ze Śląska zwany Brodatym, który przydomek zawdzięczał okazałemu zarostowi noszonemu wbrew przyjętej modzie na gładkie lica. I ten dux swoich dobrych chęci nie przybył głosić osobiście, bowiem ranny został pod przekłętą Gąsawą, a uszedł żywy tylko dzięki dzielnemu Peregrynowi, który własnym ciałem osłonił swego pana przed mieczami wrogów. Stary lis wysłał w swoim zastępstwie syna Henryka, pobożnego księcia o wielu cnotach, który do małopolskich wielmożów zalecał się dyskretnie, a głównie to się modlił, samą swoją obecnością przypominając zebrany, że Wrocław leży niedaleko Krakowa, i jeszcze głośno śpiewał, gorliwie powtarzając słowa psalmów intonowanych przez biskupa Iwo i księżnę wdowę, jakby zapowiadał, że gdy nadejdzie pora, Henrykowie przemówią jednym głosem z krakowskimi dostojnikami i duchownymi.

Obaj ci panowie musieli się jednak liczyć z ojcowskimi dążeniami Władysława o nogach cienkich jak cisowe laski, władającego Wielką Polską. Czego stary, bezdzietny Piast własnym lędźwiami dokonać nie potrafił, chciał uzyskać układami, i to czynionymi ze znacznej odległości. Od obecności na pogrzebie wymówił się waśnią ze swoim bratankiem Odonicem, który od lat nastawał na jego życie i z nim wojował. Na Wawelu przyjęto takie wytłumaczenie ze zrozumieniem, albowiem i tutaj znano

łotrostwa Władysława Odonica, tego wściekłego psa podejrzewanego o udział albo i zorganizowanie obławy na xiędza Lestka, co potwierdzał Władysław Laskonogi. Na uroczystościach pogrzebowych praw pana Wielkopolski strzegł więc biskup Paweł z Poznania. I w Gąsowie zastępował on księcia, a przed laty świadcował przy układzie między Władysławem i Lestkiem, na mocy którego w wypadku śmierci jednego z sygnatariuszy jego ziemię przejmie ten drugi. Obaj książęta nie mieli wtedy synów, więc takie zabezpieczenie dzielnic wydawało się roztropne. W palatium, czuwając przy zwłokach, duchowny przypominał o tym porozumieniu, jednak dyskretnie. Przechadzał się po sali i z każdym żałobnikiem, nawet tym najmniejszym, modlił się i pocieszał go słowami, że Pan Kryst nie zapomni o krakowskich duszach i ześle im anioła, by strzegł ich grodu. Nie musiał zdradzać imienia tego zbawcy, bowiem wszyscy wiedzieli, komu biskup dochowuje wierności.

I wszyscy śpiewali, modlili się i knuli w półmroku, za nic mając smród bijący od ciała i słabą poświatę brzasku. Wróciłem do mojego gospodzina, gdyż jeszcze sporo czasu miało minąć, nim krakowscy panowie wybiorą Bolusiowi nowego ojca. Przysiadłem na belce przy suficie i spojrzałem na wierzącego się w łóżku malca.

Byłem tym, który czuwa i nigdy nie zaśnie.

# GRUDZIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 1230

## MARZEC ROKU PAŃSKIEGO 1231

Raba leniwie płynęła między wzgórzami, niosąc nurtem cienkie kry i gałęzie połamane we wczorajszej wichurze. Ciepły wiatr spod gór roztopił pierwsze śniegi i drogi znów pokryły się błotem. Powietrze było rześkie i przyjemne, zupełnie jakby powróciła jesień.

Świętek nadepnął na starego kasztana ukrytego pod płaszczkiem wyschniętych liści. Syknął z bólu i zamiast kroku wykonał nieporadny skok na jednej nodze.

– Sam lepiej uważaj – ostrzegł brata, który szedł obok niego, a teraz śmiał się do rozpuku.

Wyszli spomiędzy drzew i ruszyli koleiną odcisniętą na ścieżce przez wozy. Ciepłe błoto stanowiło miłą odmianę od kamieni i jesiennych pozostałości ukrytych pod liśćmi. Świętek niósł dwa zastrzone kije, które nazywał włóczniami. Miał już dziewięć lat, co w jego oczach czyniło go niemal dorosłym myśliwym, a właściwie rybakiem, jako że szli polować na ryby. Jego pięcioletni brat Falik dźwigał na plecach wiklinowy kosz, niemal równie wysoki jak sam chłopiec.

Zwykle o poranku nad rzeką roiło się od mieszkańców wioski, którzy przychodzili po wodę, przyganiaли krowy do wodopoju, a ostatnio głównie łowili łososie. Kilka tygodni temu zaczęło się

tarło, mające według zapewnień starych kmieci potrwać jeszcze do początku przyszłego roku, ale też niebawem mógł nadejść siarczasty mróz i skuć rzekę lodem, przeto niewiele pozostawało czasu, by nałowić ryb i uwędzić je na zimę. Mimo to nad rzekę przyszła ledwo garstka chłopów. Wszystkiemu winna była niedziela i plebanus Piotr, który nawoływał z mównicy, że w tym świętym dniu nie lza działać, jeno nawiedzać świątynię. Jeszcze nie tak dawno nikt w okolicy do żadnego kościoła nie chodził, lecz trzy lata temu z Krakowa przyjechał duchowny Piotr i powołując się na biskupa oraz xiędza Wawelu, zajął przy pomocy stróżów najlepszą ziemię nieopodal wioski i rozpoczął budowę drewnianego kościółka. A potem zażądał, by ludzie łożyli na jego utrzymanie. Tak oto Myslenicze stały się w dolinie Raby ostoją prawdziwej wiary. Nie żeby wcześniej tutejsi chłopci nie byli krześcijanami – nie to co te pogańce z Kurosek, nadal oddające cześć demonom Welesa. Okoliczna ludność od lat wierzyła w Pana Krysta, dziatwy kąpała w świętej wodzie, a raz do roku wysłuchiwała mszy odprawianej w kapliczce pod lasem przez mnicha wysłanego z Krakowa. Taka pobożność wszystkim odpowiadała, ale cóż mogli zrobić, skoro pleban przy wsparciu stróżów księcia uparł się, by wiarę okazywać przynajmniej raz w tygodniu, a nie tylko od święta? Pogodzono się z nowymi zwyczajami, tak jak i z tym, że odtąd część podymnego oddawano nie urzędnikom duxa, tylko duchownemu. Znaleźli się oczywiście i tacy, którzy za nic mieli sobie napominania Piotra, ale ich liczba malała, gdyż duchowny zaczął uważnie przyglądać się wiernym i na głos wymieniać nieobecnych. Nikt nie lubił być wytykany palcami, więc większość uznała, że jeden dzień odpoczynku w tygodniu nie jest wcale zły.

Świętek wiedział, że przyjdzie mu zapłacić za grzech. Znał się dobrze z kijem Piotra, gdyż z polecenia matki uczył się u duchownego czytać i pisać w *lingua latina*. Szło mu dobrze i w zasadzie jako jeden z nielicznych rozumiał, co święty mąż czyta podczas nabożeństw. Jego nieobecność na pewno pozostanie zauważona, albowiem w zamian za naukę usługiwał nie tylko w chałupie Piotra, ale też podczas mszy. Smaczna ryba i dobra przygoda warte były jednak obitego tyłka.

Falik zatrzymał się w miejscu, gdzie zwykle łowili ryby, ale Świętek nakazał iść dalej, bowiem usadowił się tu już jeden obwieś, któremu woleli nie wchodzić w drogę, a poza tym starszy brat przeczuwał, że większe sztuki przyczaiły się w górze rzeki. Tam unikać należało stróżów z brony, sprawujących pieczę nad długim pasem zasieków przecinających ukosem całą rzeczną dolinę. Umocnienia strzegły traktu handlowego wzdłuż Raby, a według samych zbrojnych stanowiły również rzeczywistą granicę całego księstwa, które co prawda rozciągało się dalej na południe, ale poza kilkoma sadybami w dolinie rzeki tamtejszą dzicz zamieszkiwali jedynie leśni ludzie, utopce i rusałki. Stróże też lubili ryby i mieli prawo zabierać każdemu kmieciowi część połowu, więc nieprzepadający za dzieleniem się Świętek wybrał miejsce tuż przed zakolem rzeki, przy wierzbach, których gałęzie wystawały daleko za brzeg i osłaniały przed oczami wścibskich. Odłożyli tobołki, zrzucili kapoty, ściągnęli gacie i w samych koszulach oraz założonych na głowy kapturach weszli do rzeki.

Lodowata woda starszemu z braci sięgała do ud, a młodszemu do pasa. Nikt nie wytrzymałby w niej długo, przeto należało się śpieszyć. Falik zanurzył kosz, ustawivszy go otworem na nurt, a Świętek stanął bokiem dwa kroki przed bratem, zagradzając ry-

bom dostęp do środka rzeki. Wbił jedną włócznię w dno, drugą mocno ścisnął w rękach, wziął zamach i znieruchomiał. Czekali.

Pierwsza ryba okazała się dla nich za duża, więc nawet nie próbowali jej pochwycić. Druga była niemal o połowę mniejsza, czyli dla nich w sam raz. Świętek poczekał, aż łosoś znajdzie się przy jego nodze, i pchnął zaostrzonym kijem. Włócznia musnęła łuski i wbiła się w dno, a spłoszony łosoś pognął przed siebie, gdzie czekała na niego wiklinowa pułapka. Wpłynął do środka, ale nim Falik zdążył zawinąć wielkim koszem, zwinne stworzenie pierzchło, uderzając chłopca ogonem i go przewracając. Świętek pomógł wstać dławiącemu się wodą bratu i wychowawczo trzepnął go prawicą po głowie.

– Rozszerz se kulsasy, ugnij je y stój pewnie. Nie marnuj mojego trudu!

Falik kiwnął głową i zrobił, co mu nakazano.

Kolejna ryba była jeszcze mniejsza, choć wciąż dosyć słusznym rozmiarów. Tym razem Świętek trafił zaostrzonym kijem prosto w grzbiet i omal nie stracił broni, gdy rzeczny potwór szarpnął się do przodu.

– Teraz, szybko!

Szamocząca się ryba wpłynęła do nadstawionego kosza. Świętek, trzymając jedną ręką włócznię, chwycił za wiklinowe ucho i pomógł bratu podnieść pułapkę, a potem wytaszczyć ją na brzeg. Bestia, która wypełniała prawie cały kosz, miotała się, walcząc o życie, i zdołała nawet ugryźć dłoń młodszego z braci, ale niezbyt głęboko, więc chłopiec ani nie pisnął. Przechylili kosz, wyrzucając łososa na kamienie, a Falik podniósł głaz i się zamachnął, by zmiażdżyć męczącemu się stworzeniu głowę. Powstrzymał go brat.

– Zostaw. Niech se dygocze. Inaczej nie ugotujemy zupy z głów.

Falik posłuchał, jak zawsze, i razem patrzyli na wielkiego rzeczno drapieżnika, który wylupiał oczy, ruszał skrzelami i otwierał pyszczek, jakby chciał na nich krzyczeć. Gdy w końcu przestał się ruszać, Świętek odszukał w tobołku nóż rano podwędzony matce, kucnął przy łososiu i rozciął mu brzuch. Szybko go wypatroszył, nie zważając na krew tryskającą mu na przedramiona, a gdy skończył, odszukał we wnętrzościach pęcherz i cisnął nim w brata. Pocisk trafił wprost w twarz Falika i spadł na kamienie. Buzia malucha przybrała gniewny wyraz, który zaraz ustąpił miejsca czystej dziecięcej radości. Chłopiec podniósł pęcherz i wycelował w Świętka.

Przez jakiś czas obrzucali się rybimi płetwami i wnętrzościami, piszcząc i się śmiejąc, aż w końcu im się znudziło i zziębni usiedli na kamieniach.

– Rozpalmy ognisko – oznajmił Świętek, spoglądając na swoje zsiniałe z zimna stopy.

Gdy ogień zapłonął, starszy brat wyciął dwa kawałki łososia i ułożył je na płaskim kamieniu tuż przy płomieniach. Obaj byli głodni, bo wyszli z domu bez śniadania, więc gdy ryba trochę się podgrzała, zjedli ją ze smakiem, grzejąc nogi przy żarze.

– Złapiemy kolejną? – zapytał Świętek, gdy już sobie pojedli, a stopy zaczęły ich swędzieć od gorąca.

Falik przytaknął.

Tym razem też im się poszczęściło. Pojmali duży okaz, a że więcej niż dwóch ryb i tak by nie unieśli, ogrzali się ponownie przy ognisku, ubrali, dźwignęli wspólnie kosz i ruszyli do domu.

Zboczyli ze ścieżki i weszli w las, aby sprawdzić zastawione rano siatki na wiewiórki. Złapały się dwie rude kity. Ukręcili stworzonkom łebki i wrzucili je do worka. Zawsze to jakaś od-

miana od ryb, którymi się zajadali od miesiąca. Skórki i ogony sprzedadzą ludziom podłowczego, który co prawda zawsze ich napominał, że tylko on, jako urzędnik duxa, ma prawo polować w okolicznych lasach, ale uczciwie płacił miodem za dostarczany mu towar.

Po południu dotarli do osady. Myslenicze leżały u stóp góry, której północne i wschodnie zbocza zostały wykarczowane za czasów pradziada Myślimira, a zachodni kraniec wzniesienia łączył się z gęstym borem ciągnącym się aż do samych Węgier. Miejscowi z dawien dawna nazywali to wzniesienie Dębową Górą, ale w ostatnich latach nazwa została przechrzczona na Górę Plebana, ponieważ duchowny przejął część pól oraz łąk na jego wschodnim zboczu.

Minęła już pora mszy, więc drewniany kościółek świecił pustkami. W pobliżu nie kręcił się też pleban, który o tej porze zwykł spacerować między drzewami i śpiewać głośno psalmy, przypominając próżniakom o niedopełnieniu obowiązku codzielnego nawiedzenia świątyni. W ogóle na biegnącym przez środek wioski trakcie panował zadziwiający spokój. Świętek przyspieszył, widząc, że ludzie gromadzili się wokół jednego z domów. Ich domu. Falik chciał się wyrwać do przodu, jednak starszy brat chwycił go za ramię. On też najchętniej pobiegłby do chałupy, ale nie mogli sobie pozwolić na porzucenie kosza ze zdobyczą. I tak już dwa psy szły za nimi i wywieszały jęzory, wyczuwając rybi tłuszcz.

Przy domu ciżba rozstała się przed braćmi, jakby nieśli w koszu morowe powietrze. Zastali otwarte drzwi. Zeszli po schodkach wydrążonych w pniu sosny i znaleźli się wewnątrz ciasnej półziemianki, obecnie wypełnionej dziesięciorgiem lu-



dzi. Położyli kosz w kącie izby i zaczęli się przepychać między chłopami. Ci przepuszczali ich bez słowa, więc w końcu dotarli do przylegającej do ściany ławy, na której zwykli spać we trójkę, a na której teraz leżała tylko ich matka. Nie ruszała się.

Padli przed nią na kolana. Świętek pogładził dłonią matczynej policzek, chcąc ją obudzić, a Falik od razu spróbował, na co się zdadzą dziecięce łzy. Ciało rodzicy pozostało zimne i sine.

– Wstawaj, matulu – szepnął Świętek, dokonując rozpaczliwej próby wskrzeszenia.

Matka już wcześniej została stosownie ułożona. Spoczywała na wznak z zamkniętymi oczyma, wygładzoną suknią, w drewniakach i z małą łojową świeczką wetkniętą w złożone dłonie. Łkanie brata i własny żal, który ścisnął gardło i przynosił otępienie, utrudniały Świętkowi zrozumienie słów, które krążyły po izbie w postaci plotek, wyjaśnień i podejrzeń, w końcu jednak zdania zaczęły układać się w obraz wyjaśniający przebieg wydarzeń. Kobiętę około południa znaleźli wracający z mszy sąsiedzi. Leżała przed domem z igłą, nitką i podartą dziecięcą koszulą w dłoniach, a tuż obok jej nogi znajdował się drewniany konik. To o niego miała się poślizgnąć i rozbić sobie głowę. Na jej skroni widać było strup zakrzepłej krwi.

– Pan Kryst łaskaw jest wobec owiec, które posłusznie kroczą u jego boku.

Świętek dopiero teraz dojrzał stojącego nieopodal matki plebana Piotra. Wysoki mężczyzna o czarnych włosach i grubych, zrosniętych ze sobą brwiach przyglądał się mu z surową miną i wskazywał go palcem.

– Tych zaś, którzy odrzucają Boże towarzystwo, gdyż wolą nurzać się w rozrywce, skazuje na żywot pełen łez! Patrzcie,

jaka dola spotkała tych młodych grzeszników. Pogwałcili dzień Pański, y to w adventusie, kiedy trza się gotować na nadejście bożego gospodzina! Kara surowa, lecz sprawiedliwa, wszak y matki w kościele od dwóch niedziel nie widziałem! Wszyscy wiemy, że to synowie swym zachowaniem ciągle pracy jej przydawali. To na nich więc spada odpowiedzialność za jej niedawne grzechy y śmierć!

Chłopak poczuł na sobie spojrzenia sąsiadów i choć na twarzach niektórych znalazł więcej współczucia niż potępienia, to wszyscy wydali mu się obcy. Chciał zapłakać, jak wypadało, paść plebanowi do stóp i błagać go o odpuszczenie grzechów, ale widać zło opętało go na dobre, gdyż poczuł rosnącą złość, która wypaliła mu łzy, wyprostowała plecy i zesłała butę. Nie pojmował, dlaczego pleban smaga go takimi okrutnymi słowami. Spojrzał hardo na duchownego.

– Ryba była przeznaczona na stół pana plebana – skłamał.

Za kolejny grzech został ukarany siarczystym policzkiem.

– Matkę oplakuj, bękarcie diabła! Tylko łzami zdołasz wyjednać u Boga jej zbawienie.

„Czyżby duchowny miał rację?” Matka była zdrowa i nigdy nie chorowała, a ludzie mówili, że tak po prostu potknęła się o drewnianą zabawkę i od razu umarła. Może się mylili i to serce jej pękło z żalu albo jakiej choroby? Konik należał jednak do Świętka i to on nie schował go do skrzyni, on też rozdarł koszulę i dał matce do zacerowania i w końcu to on wyciągnął brata na ryby i odciągnął go od nabożeństwa w kościele. On. Wszystkiemu winien był on. Mimo to wciąż nie potrafił zrozumieć bezmiaru Bożego okrucieństwa, nie pojmował, czemu Pan tak srogo karze go za występki.

Spuścił głowę. Jego brat nadal płakał, ale chyba jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak zmieni się ich życie. Zostali sami na świecie. Dziadek zmarł w zeszłym roku, a ojca nie znali. Falik jeszcze nawet nie wiedział, co znaczy słowo bękart, którym czasem ich przezywano.

Kolejne dni były udręką.

Pochowali matkę na nowym cmentarzu obok kościoła. Urządzono skromny pogrzeb pozbawiony tryzny, albowiem pleban nie godził się, by śmierci towarzyszyły zabawy w maskach, pijaństwo i zawody zapaśnicze. Zresztą w całych egzekwiach uczestniczyła tylko garstka sąsiadów, a w kondukcje pogrzebowym więcej szło wyjących psów niż żałobników.

Potem stracili dom. Zjawił się u nich Hycko, najbogatszy kmięć wioski, a zarazem jej sołtys, i oznajmił, że chałupa nigdy nie należała do nich, jedynie użyczano ją ich dziadkowi w zamian za jego pracę na roli. Hycko i tak okazał łaskawość, że nie upomniał się o swoją własność w zeszłym roku, gdy ich dziadek zmarł i zostawił córkę samą. Bracia mogliby co prawda uzyskać prawo do domu i do ziemi, ale wiązałoby się to z przejściem wszystkich obowiązków dorosłego zagrodnika. „Wróćcie, gdy dorośniecie, a może oddam wam chałupę” – powiedział im na odchodnym.

Latem mogliby spróbować przeżyć w lesie. Świętek umiał już trochę budować, więc chyba udałoby mu się postawić szałas, tyle tylko, że tuż po pogrzebie spadły śniegi i odcięły całą dolinę od świata, nawet zwierzęta musiały zejść z jesiennych pastwisk. Z pomocą przyszedł braciom pleban Piotr, który zaprosił ich do siebie, a oni się zgodzili, nie mając wyboru, choć obiecali sobie potajemnie, że to tylko czasowe rozwiązanie, a wiosną uciekną na południe, w kierunku Węgier. Surowo karano samowolkę osadniczą, ale od czasu

do czasu któryś z chłopów udawał się za bronę, gdzie można było znaleźć dobrą ziemię, i to pozbawioną ciężarów prawa książęcego.

Mieszkali z duchownym w jednej chałupie, tuż przy cmentarzu, i nie żyło im się źle. Jedli dwa razy dziennie, nie marzli bardziej niż inni i spali blisko matki. Świętkowi często się śniła, a w snach tych zawsze miała surową minę, jakby oskarżała syna o swoją śmierć. W zamian za gościnę ciężko pracowali. Nosili drewno na opał, pilnowali paleniska, przygotowywali dostarczane przez chłopów jadlo, odśnieżali wejście do kościoła, sprząтали świątynię i prali. Nigdy nie mieli czasu na łowienie ryb, bowiem w każdej wolnej chwili pleban gonił ich do nauki, zresztą smak łososia i tak im obrzydł. Uczyli się pisać i czytać z modlitewnika duchownego. Piór mieli pod dostatkiem, ale brakowało im atramentu i pergaminu, więc ich przyborami stały się kij oraz śnieżny puch. Świętek jako pojętny uczeń szybko zasłużył sobie na miano *litteratus*. Nawet surowy Piotr z zadowoleniem patrzył na jego postępy i mówił, że w przyszłości może z niego być dobry *clericus*. Chłopak nic nie odpowiadał na te przepowiednie, choć obiecał sobie, że nigdy w życiu nie zostanie duchownym. Diabeł, który przywiódł go do grzechu i ściągnął na jego matkę nieszczęście, podpowiadał mu raczej, by został człowiekiem miecza, bluźniercą i pogańcem. Istniało prawdopodobieństwo, że w drodze ku zatraceniu potowarzyszy mu Falik, bowiem maluch zupełnie nie nadawał się do pióra. W ogóle od śmierci matki odzywał się niewiele i tylko do swojego brata, a podczas nauki jeno gapił się w księgę i nie powtarzał pokazywanych mu liter nawet mimo otrzymywanych razów. Kije przynajmniej oduczyły go płaczu. Zdarzało mu się co prawda łkać po nocach, kiedy wydawało mu się, że nikt nie patrzy, ale

w dzień nie okazywał smutku, nawet podczas ciężkiego lania. Polubił też płomienie. Spał tak blisko pieca, że było to wręcz niebezpieczne, ale gdy ktoś chciał go odsunąć od ulubionego miejsca, to gryzł, kopał, po czym wracał jeszcze bliżej żarzących się węgli. Niekiedy wyciągał ręce tuż nad płomienie, tak że te lizały mu dłonie. Świętek zapytał raz braciszka, dlaczego robi sobie krzywdę, a on pokazał mu zaczerwienienia i bąble, z których sączyła się biała maź, po czym odparł: „Dzięki temu tam w środku boli trochę mniej”. Świętek więcej nie pytał.

Trwali tak, skostniali od zimna i zmęczeniu mrozami, czasem w ogóle nie wychodząc z pozbawionej okien chałupy i drze miąc wtuleni w siebie jak górskie misie. Wybawieniem od nauki, towarzystwa plebana i nieustannego rozpamiętywania śmierci matki była wiosna. Nastąpiło niespodziewanie, poprzedzona dwudniową zamiecią śnieżną, a gdy już objawiła się światu, to nie znikła jak rozkapryszona pannica, jeno została, biorąc przyrodę we władanie. Raba wezbrała od pękającego lodu i topniejących śniegów, które spływały potokami z okolicznych gór. Na drogi i ścieżki powróciło błoto, a las zaczął pachnieć świeżym igliwem. I pewnego marcowego dnia odwiedził ich Pan Rycerz.

Dzień był tedy pogodny, tak że można było ściągnąć kaptur oraz ciężki płaszcz wełniany i chodzić w samej koszuli. Świętek i Falik rąbali drewno, co w zasadzie oznaczało, że ciężkim toporem robił ten pierwszy, podczas gdy malec zbierał pocięte drewnienka i układał je w stos pod ścianą chałupy. Rycerz nadjechał od zachodu, zapewne traktem górskim biegnącym po zboczach Ukleiny. Obok jego czarnego jak smoła konia kroczył młodzieniec niosący włócznię na ramieniu, a za nimi jechał wóz powożony przez starszego mężczyznę. Na pace jechało trzech

mężczyzn o wyglądzie drabów. Rycerz przejechał przez bramę w płocie okalającym całą posiadłość plebana, minął cmentarzyk i wstrzymał konia tuż przed Świętkiem, który stał z siekierą zwróconą żełżcem ku ziemi. Chrapy wierzchowca buchnęły gorącą parą wprost na twarz chłopaka, ale choć Świętek czuł prawdziwy strach, to się nie cofnął. Słyszał wprawdzie opowieści o Belzebubie w pięknym ciele rycerza, co to odwiedzał wioski na swoim czarnym koniu i zabierał dzieci do czeluści piekielnych, lecz jako starszy brat zamierzał bronić Falika.

– Nie lękaj się. Nie uczynię ci krzywdy.

Demon odezwał się miłym głosem, lecz to nie osłabiło podejrzliwości chłopca. W Księgach Bożych jasno przecie stało, że Szatan posunie się do każdego podstępu, byle tylko zwiść grzesznika.

– Kto się boi?! – krzyknął i mocniej ścisnął trzonek siekiery, by nie wypadła mu ze spoconych i lekko drżących dłoni.

– Właśnie widzę, jacy z was harcownicy – odparł rycerz, próbując zachować powagę.

Świętek zerknął w bok. Mały Falik wcale nie chował się za jego plecami, ale stał tuż obok niego, trzymając w rękach ogromne polano niczym jaką maczugę.

– Będziemy się bronić, diable! – ostrzegł starszy z braci.

– Diable? – Rycerz zaśmiał się, ale bardziej serdecznie niż złośliwie. – Nawet nieprzyjaciel w polu łagodniej mnie przeżywa. Pleban Piotr w domu?

– Nie znamy nikogo takiego.

– A ciebie, chłopcze, jak zwą?

– Ja jestem Wilk, a mój brat to Niedźwiedź – powiedział, przypomniawszy sobie ostrzeżenia matki, by nie zdradzać obcym swego imienia.

– Starczy tego. Zawołajcie plebana albo posłuchacie psiej skóry. – Rycerz wskazał na bat przytwierdzony do siodła, nie pozostawiając wątpliwości, z czego został skrócony.

Władczość, jaka biła z rycerza, dała chłopakowi do myślenia. Przybysz nie stosował diabelskich metod, nie mamił pokusami i wciąż nie użył siły, tylko groził i rozkazywał jak prawdziwy możny pan. Strach nieco zelżał w podrostrku i pozwolił mu ujrzeć wojaka w nieco innym świetle. Rycerz nie wyglądał wcale strasznie, ale dostojnie! Nosił długi, rozcięty z przodu kaftan z wszytymi weń rzędami żelaznych pierścieni. W podobny sposób wykonano długie rękawy i kapuzę, teraz układającą się w zmysłny garbik na karku. Mąż siedział wyprostowany w masywnym drewnianym siodle o dwóch jabłkach, to jest kulach, po jednej z przodu i z tyłu. Stopy tkwiły w szerokich strzemionach, a pięty zdobiły ostrogi zakończone ostrym szpikulcem. Szyku przydawał czerwony czaprak. Uwagę chłopca najmocniej przykuł miecz umocowany przy pasie rycerza. Świętek nigdy wcześniej nie widział takiej broni. Miejscowi stróże nosili włócznie, topory i sztylety, ale żaden z nich nie mógł sobie pozwolić na zakup miecza. Podobno taki oręż posiadał sołtys, ale trzymał go w skrzyni jak największy skarb. Brzeszczot, który był własnością tajemniczego rycerza, miał okrągłą głowicę, owiniętą drutem rękojeść, prosty jelec i głównię, zapewne stalową, ale nie była to rzecz pewna, bowiem ostrze tkwiło w pochwie.

– Zostaw ich!

Głos dobiegł zza półziemianki, a po chwili ukazał się jego właściciel, to jest pleban Piotr. Duchowny szedł od strony lasu, gdzie lubił się przechadzać przedpołudniami. W jednej ręce niósł modlitewnik, a w drugiej sękaty kij. Rąbek jego sięgającej kostek czarnej sukni oblepiony był skorupą błota.

– Zostawić? Przecie sam posłałeś do mnie gońca jeszcze przed Nowym Rokiem.

– Nie po to, byś się tu zjawiał. Wystarczyło przysłać przez umyślnego trochę denarów, bym miał ich z czego utrzymać. Z tego, co dostaję od kmieci, ledwo mi starcza na świece do kościoła.

– Bez nich będzie ci więc lżej. Zabieram ich ze sobą. To chyba o tę dwójkę się rozchodzi? – Rycerz machnął dłonią w kierunku braci.

Pleban zajął pozycję między jeźdźcem a chłopcami.

– Zostaw. Starszego wyuczę na swojego zastępcę, z młodszego uczynię zacnego kmiecia. Niczego im nie braknie, jeśli tylko uchylisz nam trzosa. Podobno cię stać. Podobno umiesz się wkupić w łaski każdego władcy Krakowa.

– Stać mnie y na to, by wykupić całą tę wioskę, a ciebie stąd pogonić jak bezpańskiego psa. Zejdz mi z drogi albo mój wierzchowiec wdepcze cię w błoto.

Duchowny nie cofnął się o krok, za to zasłonił się psalterzem i kijem niczym tarczą i włócznią.

– Służę jeno xiędzu Nieba y tylko przed jego gniewem zginam kark. Musisz wiedzieć, że przez ostatnie trzy lata żyłem z matką tych chłopców jak z własną żoną.

Rycerz powoli zdjął skórzane rękawice, ułożył je przed sobą na siodle, po czym przecesał bujnego, równo przystrzyżonego wąsa o barwie słomy i podrapał się po łysinie.

– Doszły mnie takowe pogłoski, jednak te zuchy mają więcej niż trzy lata, więc nie masz do nich praw. Jeszcze nim się tu osiedliłeś, słałem ich matce monety, by miała z czego chować synów, a jej ojciec nie wydał ją za byle zagrodnika. Nic ci nie zawdzięczają.

– Ino to, że byłem dla nich jako ojciec y dbałem, by wyrosli na ludzi.



Przybysz zacisnął łapę na przedniej kuli siodła. Koń jakby wyczuł gniew pana, bo zarżał, potrząsnął łbem i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Wojownik poklepał go po szyi.

– Dostaniesz sto denarów za swój trud.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– To czego chcesz, plebanie? Chłopcy jadą ze mną, to nie podlega dyskusji!

– Skoro tak się upierasz, to ich sobie weź. A choć nie dbam o własne bogactwo, to nie mogę być ślepy na ubóstwo Kościoła, który jest naszą matką. Ledwośmy jesienią skończyli budować świątynię y już zabrakło nam monet na zakup ołtarza, ław y mszalnego uposażenia. Swoją posługę muszę pełnić przy zwykłym pniaku, a krew Pana Krysta okazywać w drewnianym kubku!

Świętek gorączkowo myślał. Kim jest ten człowiek? Na licho nie wyglądał, a przemawiał tak rzeczowo, jakby był przyjacielem ich zmarłej matki albo... Nawet po cichu nie śmiał tego powiedzieć. Co prawda rodzicielka rzekła mu kiedyś, że spłodził ich możny pan z Krakowa, ale była wtedy napita piwem, więc Świętek jej nie uwierzył. Może jednak rycerz przynajmniej znał ich rodzica? Ale dlaczego pleban twierdził, że ich matka była mu żoną? Zaczął się nad tym zastanawiać. Gdy matka mówiła mu, że zostawia go samego z bratem na noc, bo idzie odmawiać kompletę ze świętym Piotrem, to niekoniecznie chodziło jej o modlitwę w samotności. Wspólne wieczery w domu duchownego też pewnie nie wynikały z litości męża Kościoła wobec samotnej matki. A gdy ludzie wytykali Świętka palcami i przezywali Piotrowicem, to bynajmniej nie kpili z tego, że podrostek jest uczniem i pomocnikiem duchownego. Nie był głupi. Już wcześniej coś podejrzewał, tylko jakoś nie mieściło mu się w głowie, że rodzica mogła zlec z takim

okrutnikiem. W ostatnich tygodniach przed jej śmiercią coś musiało się zmienić między tą dwójką, gdyż pleban już ich tak często nie odwiedzał, a matka stroniła od kościoła.

– Dobrawka leży na tym cmentarzu? – zapytał rycerz.

– Przy wschodniej ścianie.

Przybysz przełożył nogę przez siodło, zsiadł z konia, przekazał uzdę młodzieńcowi z włócznią i ruszył ku mogiłom. Na ziemi wyglądał niemal równie okazale jak w siodle, co zawdzięczał słusznej posturze i brzuchowi, a gdy kroczył w swoim ciężkim kaftanie i w butach z ostrogami, zgromadzona w kałużach woda lekko drżała. Wojak odszukał właściwy grób, po czym uklęknął i spuścił głowę. Tkwił w tej pozycji przez dwa pacierze, a Świętkowi wydało się, że dostrzegł łzę w jego oku. Potem mężczyzna wstał, wrócił do swojego rumaka i z powrotem go dosiadł, korzystając z pomocy giermka, który przytrzymał mu strzemień. W końcu zawyrokował:

– Zostanę waszym darczyńcą przez wzgląd na moją Dobrawkę. Przyślę mojego skarbnika, który uzgodni wydatki. Chłopcy, zacierajcie swoje rzeczy.

– Czy... Czy jesteście naszym ojcem, panie? – W końcu na od wagę zebrał się starszy z braci.

– Może kiedyś będziecie się do mnie mogli tak zwracać. Na razie jestem panem Klemensem herbu Gryf z rodowymi włościami w Ruszczy, a wy jesteście moimi stajennymi. Wiecie, jak obchodzić się z końmi?

– Nie, panie.

– Wszystko wyjaśni wam Jędrak. Ładujcie się na wóz, bo jeszcze dziś chcę zajeżdżać na Wawel.

## Rok Pański 1228 - rok Pański 1231

Patrzyłem, jak rośnie to maleńkie dziecię.

Rodzic mego umiłowanego księcia ubity został pod Gąsową i leżał w kamiennym sarkofagu w katedrze na Wawelu, ale Bolek miał już nowego ojca, brzydkiego i lubieżnego duxa Władysława o nogach cienkich i powykrzywianych jak leszczynowe laski. Władysław nie okazał się jednak dobrym tatką, albowiem synka swego nie leczył z melancholii, nie uczył go rycerskiego rzemiosła i nie pokazywał mu, jak łapać świerszcze na Bagnach Żabiego Kruka, co gorsza, z domu go wygnał, w łaskawości swej zezwalając, by w odległej przyszłości doń powrócił. A o wszystkim tym zdecydowano w Cieni.

Ja też tam byłem, w trzecie nony majowe roku Pańskiego 1228, na *plenum colloquium*, to jest wiecu walnym pod gołą chmurką. Siedziałem w koronie dębu nad powieszoną na pniu kapliczką świętego Józefa, który niegdyś tak jak i ja był opiekunem gospodzina, tyle że Bożego, i obaj czuwaliśmy, co możni uradzą na temat Bolusia. Na wiec w Cieni nieopodal Kalisza, przy granicy między Wielką i Małą Polską, zjechali pan wojewoda krakowski Marek Gryfita, palatyn Pakosław Awdaniec z Sandomira, Mściwój kasztelan Wiślicy i wielu jeszcze innych możnych z ziemi krakowskiej, a wszystkim im przewodził mądry radą biskup Iwo Odrowąż przemawiający w imieniu Kościoła i księżnej Grzymisławy, która została wraz synem na Wawelu

i tam modliła się o pomyślność dla swojej dzielnicy. Pod jej nieobecność za najważniejszego uczestnika zjazdu uznał się książę Wielkopolski Władysław, przez wrogów przezywany laskonogim rozpustnikiem, który także przyprowadził swoich radców, dworzan i wojów, a spośród nich największym sprytem odznaczał się biskup Paweł z Poznania.

Już kilka dni wcześniej rozbito pod wioską wytworne namioty, tworząc jakby oddzielną miejscowość. Ileż tam wina wypito, dziewczek wygrzmocono i kłótni stoczono, tego nawet ja nie zliczę, ale to właśnie w tym obozie, przy rozmaitych rozpustach, toczono właściwe układy. Och, jakże kupczyć potrafiły te wyrosłe na smoczym truchle krakusy, jakby gadzie złoto, wciąż spoczywające pod wawelskim wzgórzem, na wiek wieków nappełniło ich serca chciwością.

Co uradzono pokątnie, wnet ogłoszono na głównych obradach. Odbyły się one na niewielkim kopcu, na którego szczycie stał drewniany stolec i rósł wiekowy dąb z zawieszoną na pniu kapliczką świętego Józka, najśłynniejszego spośród wstydlivych. Na tym krześle siedział dux Władysław, a pod nim, na stokach kopca i dalej, na kwiecistej łące, stali możni zgodnie ze swoim starszeństwem. Przez cały dzień spierano się i godzono, aż w końcu Władziu zobowiązał się zachować krakusów w ich prawach, i to nie tylko rycerzy oraz kupców, ale i rzemieślników oraz zwykłych najemców. Nadto zapewnił, że nowych obciążeń i danin nakładać nie będzie, a gdyby przyszło mu na myśli nowe prawo układać, zasięgnie rady u biskupów i głów najważniejszych rodów, w razie zaś wojennego zagrożenia przybędzie wraz ze swymi rycerzami bronić Krakowa. Wszyscy zgodnie orzekli, że przyrzeczenia te są *iusta et honesta*, czyli słuszne

i sprawiedliwe. Mądry Iwo Odrowąż zadbał również, by Władysław ulżył w powinnościach Kościołowi i uwolnił biskupie posiadłości od nadmiernej opieki książęcego prawa. W zamian za to wszystko xiądz otrzymał zgodę na usynowienie Bolesława Lestkowica i tym oto sposobem stary władca stał się opiekunem mego gospodzina oraz całej krakowskiej dzielnicy i ogłosił się princepsem Lechii. Raz jeszcze dwie Polski stały się jedną, i to na długie lata, albowiem Boluś został spadkobiercą starego księcia i kiedyś miał odziedziczyć ziemie obu swoich ojców. Na razie został jednak dzierżycielem ziemi sandomirskiej i tam miał zostać zesłany wraz z matką, której odebrano tytuł pani Wawelu, a obwołano ducissą Sandomira.

Układy zagryziono mięsiwem, zapito winem i przypieczętowano pijackimi uściskami, ale radosny nastrój nie potrwał długo. Ledwo Władysław zawitał do Krakowa i pogłaskał po jasnej czuprynce nowego syna, a już musiał wyjeżdżać zająć się sprawami Wielkiej Polski, gdyż przeklęty Odonic uciekł z więzienia i wszczął nową wojnę przeciwko swemu stryjowi. Nadto Konrad dux Mazowsza nie przestał śnić o Wawelu i za nic mając ustalenia w Cieni, zebrał armię i ruszył na południe.

Grzymisława lękała się tyranii Konrada i słała listy do Władysława, by wywiązał się z umów i przysłał swoich rycerzy na ratunek, lecz stary książę nie potrafił nawet nad swoją dzielnicą zapanować, więc doradził tylko, aby o pomoc zwrócić się do brodatego Henryka. Książę Śląska wyleczył już rany spod Gąsawy i gotów był przekuć porażki w zwycięstwa na placu boju. Wraz ze swym synem Henrykiem zrobili zaciąg śląskich rycerzy i nadto najęli niemieckiego żołnierza, by o lechickie sprawy walczył. Wielka ich siła przybyła do Małopolski i przez całe lato da-

wała dzielny opór grabieżcom i gwałtownikom z Mazowsza. Nie było to jednak po rycersku tak się wadzić i gonić po lasach, tedy Henrykowie umówili się z Konradem na walną bitwę pod Skałą.

Siedziałem na palisadzie wzniesionej wśród skał grodu i spoglądałem na bitwę. Starli się rycerze konni i spieszni, wielkie pany z prostymi chłopami. Miecz przeciw tarczy, topór przeciw włóczni. Lśniące kolczugi pokrywały się błotem, a szłomy gubiły z czubów pawie pióra. Konie stawały dęba i rżały, zbrojni wymachiwali w żelazo przystrojonymi rękoma i krzyczeli, a nad całym tym zgiełkiem unosiły się zawołania bitewne i imiona książąt, którzy chcieli zostać opiekunami mojego gospodzina. Tego dnia wielu znakomitych rycerzy poległo, a gdy nastał zmierzch, rozgromiony Konrad czmychnął z resztką hufca, co nie przyszło mu łatwo, albowiem na pastwę wrogów musiał zostawić ciało swego młodego syna Przemysła, ubitego przez zwykłego ciurę.

Chwała zwycięstwa przypadła brodatemu Henrykowi i leciwy, ale wciąż silny w boju Piast został kolejnym opiekunem mojego Bolka. Ojcem go jednak nie obwołano, gdyż Władysław nie pozwolił sobie odebrać syna oraz jego włości, więc Ślązak objął we władanie Kraków jako wielkorządca Laskonogiego, a nie udzielił dux.

Wieści o bitwie dotarły do Grzymisławy już nazajutrz. Pamiętam dobrze, jak się radowała, spacerując po ogrodach Wawelu, i z jaką życzliwością witała obu Henryków w palatium, gdy ci opromienieni tryumfem zajechali do grodu Kraka. Myślała sobie, że stary Heniu, który nosił tonsurę i krótką brodę niczym mnich, okaże jej łaskę i pozwoli zostać w Krakowie, choćby w skromnym domostwie w Okole, ale blisko mogiły męża i dziedzictwa syna. Książę Śląska nie był gwałtownikiem

i we wszystkim słucał się rad swojej żony, pobożnej Jadwigi, ale w tej sprawie okazał się stanowczy i przypomniał wdowie, że jest ducissą Sandomira i ma wobec swojej dzielnicy obowiązki, wszak poddani bez monarchy są niczym owce bez pasterza. Musiała zatem potomkini ruskich kniaziów wypełnić postanowienia z Cieni i ruszyć na wygnanie.

Widziałem, jak się pakują. Nie brali kobierców, zdobionych kufców, rzeźb, połączanych krzyży, stołów ani krzesel, bowiem księżna dawała do zrozumienia, że to wszystko i tak należy do niej i do jej syna, a przecież gospodarz nie zabiera ze sobą mebli, gdy inny swój dom wyrusza odwiedzić. Ze wszelkich miar starała się wszystkich przekonać, że wawelską twierdzę opuszcza tymczasowo i na własne życzenie. Suknie i klejnoty szczerze darowywała kościołom i klasztorom, nie zapomiała też o upominkach dla żon wpływowych krakowskich rycerzy, głosząc wszem i wobec, że jedyną pociechą po śmierci męża jest dla niej Pan Kryst, ten zaś Oblubieniec lubi niewiasty przyobleczone w zgrzebne suknie. W jej sercu rzeczywiście Bóg zamieszkiwał, ale ja potrafiłem dojrzeć jeszcze jedną przyczynę jej zachowania. Ducissa pragnęła dobrze zapaść w pamięci wpływowych krakowskich osobistości, tak by te nie zapomniały o jej sprawie.

Zabrane dobra zmieściły się na jednym wozie, a z wyroku Opatrzności był to ten sam pojazd, którym nie tak dawno w kondukcje pogrzebowym wieziono książęce ciało. Poznałem go, tak jak i Bolek, który podczas egzekwii podrapał jedną z desek.

Grzymisława jechała na koźle, obok woźnicy, ja siedziałem z Bolkiem na pace, a naszą straż stanowił skromny poczet rycerzy z rodu Awdańców. Mój gospodzin przed miesiącem skończył ledwo dwa latka i wcale nie rozumiał, dlaczego matka pozbawiła

go najpierw kołyski, a teraz całego domu. Mało się odzywał w owym czasie, rozmawiał jeno ze mną, więc ludzie brali go za ociężałego i głupiego. Piastowie jednak tak mieli, że późno uczyli się mówić, za to gdy już posiadli tę sztukę, to wysławiali się głośno i stanowczo, a cały kraj drżał z powodu ich kłótni i sporów. Niemal trzysta lat temu mój niegdysiejszy podopieczny Mieszko przez siedem pierwszych lat życia był niewidomy, aż ja, Piękny Młodzieniec, położyłem dłoń na bielmie jego oczu i kazałem mu widzieć. Teraz musnąłem świetlistymi palcami uszeczka mego Bolusia.

– Mama, siku!

Grzymisława odwróciła się na koźle i uśmiechnęła, bo te słowa utwierdziły ją w wierze, że jej Bolek będzie mówił i będzie żądał, a gdy zmężnieje, to wszyscy ulegną jego pragnieniom. Nakazała się zatrzymać i przeszła na tył wozu, by swoje maleństwo przytulić i wyściskać, ale w ostatniej chwili cofnęła wyciągnięte ramiona, bo przecież czułości przystawały prostej chłopce, a nie księżnej pani. Wróciła do swej codziennej oziębłości i postanowiła już nigdy nie okazywać słabości, tłumacząc sobie, że jeśli Bolek ma odzyskać swoje dziedzictwo, to musi być dla niego surowa, albowiem żaden mężczyzna nie obdarzy go ojcowską szorstkością, która garbuje skórę rycerza. Chwycała chłopca za rękę, pomogła mu zejść na ziemię, postawiła go pod drzewem, spuściła mu gacie i nakazała ulżyć pęcherzowi. Bolek czuł się niepewnie, bo wcześniej jego kuśkę podtrzymywała mu mamka, ta jednak została w Krakowie, a tutaj nikt nie wykazywał chęci pomocy. Nie umiał jednak okiełzać sztywniejącego siusiaka, zatem ten wystrzelił, a pozbawiony kontroli ręki zaczął bryzgać na boki, moczając zarówno gacie malca, jak



i rąbek matczynej sukni. Grzymisława spojrzała z pogardą na to synowskie niepowodzenie, po czym podniosła kijek, trąciła nim ksiąźącego członka i oznajmiła:

– Strzeż się tego diabła, albowiem sprowadza na mężów nie-szczęścia.

Zawstydzony chłopiec spuścił głowę i zaczął cicho płakać, zupełnie zapomniawszy o samodzielności, więc podenerwowana rodzica pomogła mu się ubrać, wróciła z nim na wóz i nakazała ruszać dalej.

W Sandomirze przyjęto ich godnie, choć chłodno. Najsam-pierw Grzymisławie sprzyjało wiele rycerskich rodów, lecz grono to malało, gdyż ducissa dawała do zrozumienia, że nie zamierza być kukłą do przybijania pieczęci, ale samodzielną władczynią. Pragnęła rozporządzać, sądzić i karać, aby dobrze przygotować księstwo pod późniejsze panowanie syna, przez co na dworach i w zakryściach coraz częściej dało się słyszeć głosy: „Dlaczego rządzi nami ta ruska kurwiczka?”. Wypominano jej wschod-nią wymowę i pomawiano o skłonność do tyranii. Tymczasem w kraju rozgorzała nowa wojna.

Przez całe lato roku Pańskiego 1228 oddziały podłego Kon-dzia z Mazowsza pustoszyły Małą Polskę, ale w końcu zostały skutecznie odparte przez armię bohaterskich Henryków. Wró-cił więc Konrad do swego dworzyszczu jak pokaleczony ogar do budy, ażeby tam lizać rany. A potem nastąpiła zima i wiosna roku następnego, podczas której stary ksiąź Henryk poczuł się władcą Krakowa i poniechał nowego zaciągu. Na starość bar-dziej skłaniał się ku radzeniu niż ku wojowaniu, zwołał zatem wiec Piastów i możnych panów do Spytkowic, by się z krewnymi raz na zawsze ułożyć.

Konrad nie został zaproszony, ale i tak posłał na niego swoich przedstawicieli, czyli wichrzycieli i mordarzy z rodu Toporczyków, a ci zakradli się do maleńkiego domu Bożego, gdzie stary Henryk słuchał mszy. Klęczący dux usłyszał za sobą rżenie koni, brzdęk kolczug i odgłosy toczącego się na zewnątrz boju, ale nie wstał i nawet się nie obrócił, gdyż clericus właśnie okazywał ciało Pana Krysta. Dopiero gdy sam duchowny ze strachu upuścił opłatek, a dla odwagi wypił duszkiem wino z cynowego kielicha, książę Wrocławia zerwał się z miejsca i dobył miecza.

Walka trwała krótko. Trzech zapaskudzonych krwią Toporczyków wpadło do świątyni z włóczniami, ale trzymanymi tak, jakby to były żerdzie do drażnienia niedźwiedzia w klatce. Książę miotał się i ciął, jednak szybko wytracono mu oręż i wymierzonymi w kolana razami obalono na ziemię. Zaczęli go wtedy bić i katować, a potem jeden z oprawców chwycił go za siwą brodę i bez szacunku dla jego urzędu i starczego wieku wywlókł na zewnątrz i przerzucił przez koński grzbiet. Napastnicy wraz z uprowadzonym starcem odjechali na północ, zostawiając za sobą trupy książęcych sług.

Wieści o porwaniu szybko się rozniosły i młodszy Henryk, ten pobożny młodzian, zaczął się srożyć i nawoływał do pomsty, a w końcu poprzysiągł, że całe Mazowsze utopi we krwi, jeśli jego mieszkańcy nie oddadzą mu ukochanego ojca. Ogłosił nowy zaciąg, zgromadził wokół siebie bitnych wojaków i szykował się do wyprawy, chcąc ułagodzić swoją złość w grabieży i pożodze, a ponad wszystko w walce. I niechybnie doszłoby do wojny, gdyby na głowy rozjuszonych Piastów kubła zimnej wody nie wylała Jadwiga, żona starszego Henryka, a matka młodszego. „Czy godzi się zabijać niewinnych krześcijan z powodu rodzinnej

waśni?”, „Czy po to Pan Kryst umarł za nasze grzechy, byście się mogli pozabijać w bitewnym błocie?” – pisała w listach ta święta kobieta. Nawet mnie to zdziwiło, że jej słowa zostały wysłuchane. Ducissa opuściła trzebnicki klasztor i udała się do Płocka, by rozmówić się z Kondziem, a ten znany okrutnik i bezwstydnik potraktował ją dwornie i zgodził się uwolnić jej męża, pod tym jednak warunkiem, że Henryk porzuci myśl o Wawelu i zrzeknie się opieki nad Lestkowym synem. Zgodzono się na to i upokorzony Piast wrócił do Wrocławia wspólnie ze swą żoną.

Chwiejnie się toczyło koło dziejów w roku 1229 i obrało niekorzystną drogę dla mojego gospodzina, wszak głównym kandydatem na jego ojca został gwałtownik rodem z Mazowsza. Zdołał on zbrojnie podporządkować sobie ziemie łęczycką i sieradzką należące do spuścizny po Lestku, a także przeciągnąć na swoją stronę część możnych z Sandomira, którzy nie uszanowali wcześniejszych obietnic i zdradzili mego gospodzina. Konrad zajechał do grodu w Sandomirze jak do siebie i z udawaną życzliwością potraktował bratową, głosząc, że oto na prośbę tutejszych panów przybył jej pomóc we władaniu dzielnicą. W pierwszym jednak rozporządzeniu ustanowił zarządcą księstwa swego własnego syna, który, podobnie jak mój podopieczny, nosił imię Bolesław. Wdowę po Lestku szwagier obdarował zaś włościami w Skaryszewie i wysłał ją tam, by pod jego czujnym okiem rządziła kurnikiem. Tylko Awdańce wstawili się za nią, co przypłacili utratą urzędów.

Grzymisława z synkiem spakowali dobytek na ten sam pogrzebowy wóz, na którym niedawno opuszczali Kraków, ale tym razem pojazd był jeszcze łżejszy, gdyż nie pozwolono im zabrać prawie niczego z i tak już skromnego dobytku. A gdy

tak jechali podskakującym na nierównościach wozem, matka mówiła synczkowi, że kiedyś przebędą tę drogę w drugą stronę, lecz prowadząc wojsko i zabijając każdego, kto nie padnie na kolana przed wielkim Bolesławem. Tymczasem musieli zamieszkać w skromnym dworze, odrobinę tylko okazalszym od posiadłości tutejszego sołtysa.

Rano w pewien letni dzień przysiadłem w kącie izby i obserwowałem, jak matka wychodzi na mszę do pobliskiego kościoła, a czteroletni książę zostaje sam w domu, ale wcale się tym nie martwi, bo gdy tylko zamykają się drzwi za rodzicą, wyciąga ze skrzyni drewniany mieczyk i zbitą z deseczek tarczę i zaczyna walczyć. Zablockował niewidzialny cios, pod którym ugięły się jego nóżęta, po czym wyprowadził pchnięcie, lecz w swej dziecięcej nieporadności trafił nie w wydumanego przeciwnika, ale w krzesło, przewracając je na podłogę. Podpowiedziałem mu, by całym ciałem szermował, uważnie nasadzał, a wroga raził ciosami skrytymi i skrętnymi. Wyjaśniłem, aby nastawał na przeciwnika słabością miecza, czyli odcinkiem od sztychu do środka, a blokował siłą miecza, która drzemie między środkiem brzeszczotu a jęlcem. Ukazywałem mu się, uśmiechałem się do niego i mocowałem z nim, jak ojciec powinien mocować się z synem. Umiejętności te nie raz miały mu się przydać, jednak tu i teraz mógł jedynie słuchać, jak opowiadam o wojnach dorosłych toczonych w jego sprawie.

Kolejne lata nie były łaskawe tak dla mego dominusa, jak i dla całej Lechii. Konrad zamiast mścić się za śmierć brata, wszedł w układy z jego domniemanym zabójcą, Władysławem synem Odoną, i razem z nim zaczął najeżdżać Wielką Polskę. Z wielką zajadliwością i okrucieństwem pustoszyli wsie i miasta,

a w końcu zmusili do ucieczki Władysława Laskonogiego. Tak oto na starość przyszło temu rozpustnikowi błąkać się po cudzych ziemiach i błagać stronników o wsparcie dla swoich praw, a w końcu zawędrował on na sam Wawel, gdzie otworzono mu bramy i dano gościnę, ale potraktowano nader pobłaźliwie. Małopolanie zaczęli się bowiem zastanawiać, czy na dobrego konia postawili w wyścigu o krakowski tron, wszak ten oto bezdomny dux nie wyglądał już na męża zdolnego obronić ich dzielnicę przed wszelkim zagrożeniem, jak to obiecał w Cieni. Szybko rozeszły się też pogłoski, że Odonic i Konrad podzielili między sobą ziemie Władysława i ten pierwszy miał zagarnąć Wielką, a ten drugi Małą Polskę. Laskonogi nie poddał się jednak i nawet gdy w listopadzie roku Pańskiego 1231 wybiła na niego ostatnia godzina, to śmierć zastała go w последней Środzie, gdzie szukał nowych stronników, także wśród dziewczek, co go ostatecznie zgubiło. Gdy rozkładał nogi szesnastoletniej Niemki, opierająca się panna sięgnęła po nożyk i chlasnęła go po gardziółku.

Tymczasem w odległym Skaryszewie mój gospodzin klęczał na podłodze skromnego kościółka i powtarzał za matką słowa pacierza. Szło mu dobrze. W wieku pięciu lat znał już na pamięć wszystkie pieśni z psalterza matki. Patrzył na nią jak na Bogurodnicę z obrazka, a ona na niego jak na swego Jezuska, ale tak było tylko w chwilach ich wspólnej modlitwy, bo z postanowienia Grzymisławy na co dzień nie okazywali sobie żadnej czułości. Nie brała go na kolana, nie dawała mu całusów na dobranoc i nie głaaskała go po głowie, gdy popłakiwał wtulony w poduszki. Mój gospodzin bardzo sobie więc cenił te momenty bliskości przy wspólnej modlitwie, znosząc dzielnie ból kolan oraz pleców, i wcale się nie ucieszył, gdy przerwał im zziąjany posłaniec z Sandomira.

Ścisnąłem dłoń mego gospodzina, żegnając się z nim, a me piękne oczy zarosiły się łzami na wspomnienie naszej wędrówki. Okiennica otworzyła się z hukiem, a do środka wdarł się podmuch zimowego wiatru, który wchłonął ostatni oddech księcia i uleciał w ciemność. I tak w wieku lat pięćdziesięciu i trzech, po trzydziestu sześciu latach rządzenia Krakowem i Sandomirem, zmarł piękną śmiercią cny xiądz Bolesław Pudicus, syn Lestka z rodu Piastów, a cała Lechia i wiele ościennych krajów pogrążyło się w żałobie.

Jestem już wolny, ja, Piękny Młodzieniec, spłodzony umysłami Platona i Arystotelesa, wielbiony przez krześcijan, mahometan, żydów i pogańców, zostałem pozbawiony gospodzina z krwi krakowskich Piastów, którego mógłbym strzec. Podróżuję w przyszłość i widzę jego uroczysty pogrzeb w kościele ojców franciszkanów, mrugam i już spoglądam na Kraków rozwijający się, kwitnący, niszczący i odbudowujący się. Zastanawiam się, co zostało na tym łez padole z mojego Bolusia, i zauważam obraną przez gołębie tablicę z niewyraźnym napisem, że mieszkańcy podwawelskich osiedli pamiętają o swym wstydlwym xiędzu. Takoz i ja, unoszony przez czas stróż, który na świat patrzy już tylko z obojętnością, nigdy nie zapomnę Wstydlwego, bo choć miewałem waleczniejszych i mądrzejszych panów, to nikogo nie ukochałem mocniej niż mego ostatniego duxa, który w sercu nosił wahadło – drogowskaz, za sprawą którego niczego w życiu nie był pewny, tak jak i ja nie mam pewności, czy jestem, czy już mnie nie ma.

## Między fikcją a historią

Postać Bolesława Wstydliwego towarzyszy mi od pewnego czasu. Po raz pierwszy zetknąłem się z nią na poważnie podczas studiów historycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Poddałem się wtedy narracji, która przez długie lata dominowała nie tylko w obiegu popularnym i szkolnym, ale i w poważnej historiografii. Bolek był mięczakiem, który nie potrafił zadbać o przyszłość swojej dzielnicy. Dał się namówić żonie na białe małżeństwo, co doprowadziło do wygaśnięcia linii krakowskich Piastów. No cóż, byłem wtedy młodym mężczyzną i idea dobrowolnego świeckiego celibatu nie mieściła mi się w głowie. W sumie nadal się nie mieści, ale przynajmniej trochę wiedzy nabyłem i zacząłem lepiej rozumieć wieki średnie, ówczesną mentalność, kulturę czy obyczajowość – wszystko to stopniowo zmieniało moją ocenę Bolesława. Zacząłem dostrzegać w nim głębię i wewnętrzny dramat. Wychowany bez ojca, pod okiem despotycznej matki i duchownych, otoczony świętymi kobietami, musiał funkcjonować w męskim świecie i brać udział w brutalnej wojnie o krakowski tron. Idea monastycznego życia ścierała się w nim z męskimi wzorcami wojownika i rycerza. Chrześcijańskie cnoty nie zawsze szły w parze z polityką i wojną, w których sukcesy nieraz odnosiło się za sprawą przebiegłości, a nawet zdrady. Niechęć do krewniaków, którzy zagrabili mu ojcowiznę, zmuszony był godzić z obowiązkiem lojalności wobec rodziny.

I w końcu miłość, a może tylko przywiązanie i szacunek do żony, ścierała się z obowiązkami wobec rodu, dzielnicy i poddanych. Oj, niełatwe decyzje musiał podejmować Bolesław, stąd wcale mnie nie dziwi, że tak często się wahał...

Po studiach doktoranckich wzięłem ślub w Bazylice Świętego Franciszka z Asyżu w Krakowie. I tu muszę uspokoić moją żonę. Nie ma to nic wspólnego z moim zawahaniem, ale z Bolesławem – owszem. Kościół wybraliśmy trochę przypadkowo, miał być piękny i blisko rynku, i dopiero gdy dopełniliśmy formalności i wsiedliśmy w pociąg pędzący ku sakramentalnemu „tak”, zaczęłam bliżej studiować historię tej świątyni. Odkryłem, że wzniesiono ją za czasów Bolesława Wstydliwego, który był jednym z dobrodziejów zakonu franciszkańskiego i w tej właśnie bazylice został pochowany. Dziś można tam znaleźć nawet jego kryptę i choć teza o jej autentyczności już dawno została obalona, to duch Bolesława nadal unosi się w tym miejscu. Znajdują się tam przedstawiająca go rzeźba i płyta kamienna, a także ślady obecności jego najbliższej rodziny. Jego siostra, błogosławiona Salomea, doczekała się nawet własnej kaplicy, gdzie przechowywane są jej relikwie. Matka, Grzymisława, i żona, Święta Kinga, spoglądają na nas z rzeźb i obrazów. To wręcz rodzinny kościół ostatniego z krakowskich Piastów. I którejs soboty obok nich wszystkich pojawili się pan młody, pani młoda i wszyscy ich goście. Podczas ceremonii myślałem o żonie. Prawie przez cały czas.

Po ślubie miałem inne rzeczy do roboty niż pisanie książek. Na stałe zamieszkałem jednak w Krakowie, mieście ulokowanym na prawie niemieckim, sami zgadnijcie przez kogo. Tak, przez Bolesława Wstydliwego. Facet nie chciał dać mi spokoju.



I w końcu wygrał. Kiedy postanowiłem napisać o trzynastowiecznym Krakowie, od razu zgłosił się na ochotnika. Trochę się jednak wahałem, ale ostatecznie przekonała mnie sól. Gdy przeczytałem, że była ona jednym z prezentów ślubnych, które żona przywiozła Piastowi z Węgier, od razu wszystko zaczęło mi się zazębiać. Sól kamienna stała się dla mnie symbolem tego dziwnego i trudnego związku, który tworzyli Bolesław i Kinga. Aby zabrać się do pracy, musiałem sobie tylko odpowiedzieć na jedno pytanie: pisarzem ci ja, azali historykiem?

Mogłem napisać monografię naukową albo książkę popularnonaukową. Należyte wykształcenie otrzymałem, warsztat sobie wyrobiłem. Ciągnęło mnie jednak ku literaturze i to jej się pokłoniłem. Czy więc przestałem być historykiem, przynajmniej na czas pracy? Myślę, że nie. Od dawna zajmuje mnie nurt w metodologii badań zwany narratywizmem. W dużym uproszczeniu zakłada on, że badacz nie odtwarza obrazu przeszłości, ale tworzy o niej narrację. Przeszłości już przecież nie ma, możemy więc tylko o niej pisać, a każdy robi to trochę inaczej i nawet jeśli ktoś dąży do poznania obiektywnej prawdy, to i tak jego ujęcie historii będzie „skażone” jego własnymi doświadczeniami czy unikatowym sposobem myślenia. Obraz historii wyłania nam się więc z wielogłosu badaczy, którzy nieustająco się spierają o prawdziwość swoich twierdzeń. Takie postawienie sprawy zbliża historię do sztuki, a monografię naukową do powieści historycznej. Nie znaczy to jednak, że nie ma między nimi różnic. Liczą się fakty. Naukowiec hołduje im i trzyma się jak najbliżej ich. Objasnia je, układa w ciąg zdarzeń, wysnuwa teorie, ale hamuje wyobraźnię i nie dopowie tego, czego brakuje mu w źródłach. Pisarz może traktować fakty z większą przebiegłością. Dla niektórych są one

ledwo dekoracją fikcyjnych światów – mnie służą za kamienie węgielne, na których buduję swoją historię. Fakty i ramy historyczne są dla mnie święte, ale one nie mówią nam wszystkiego. Wiemy, kiedy Bolesław objął władzę, w jakich bitwach walczył, jakie dokumenty wystawił, ale już jego osobowość, to, w jaki sposób traktował bliskich, a jak swoich wrogów, pozostaje przed nami ukryte. Tu wkracza pisarz, który może wypełnić luki swoją artystyczną kreacją, ale też dodać do historii tak zwaną wartość estetyczną. To największa zaleta powieści. Dzięki niej czytelnik może choć odrobinę poczuć, jak to było w tamtych czasach, ma nawet lepszy wgląd w epokę, niż gdyby zapoznał się z pojedynczą naukową biografią Bolesława, tam bowiem nie znalazłby informacji o tym, jak książę się ubierał, mówił i myślał ani jak wyglądał Kraków za jego czasów.

Tak oto stworzyłem literacką narrację o życiu i śmierci księcia krakowskiego Bolesława Wstydlivego.

A podczas pisania i tak wyszedł ze mnie badacz. Zawsze staram się oddać sprawiedliwość postaciom historycznym i nie przekształcać ich w sposób, który przeczyłby ich zapisanemu w źródłach wizerunkowi. Nie chciałem też traktować Bolesława podmiotowo i opowiadać z jego punktu widzenia, gdyż skazałoby mnie to na autorytarne i jednostronne ujęcie tematu. Oddałem więc głos innym bohaterom, którzy towarzyszą Bolesławowi, są świadkami jego życia i znają go od różnych stron. Świętosław i Falisław, bracia z Myślenic, są postaciami fikcyjnymi (choć są synami istniejącego naprawdę Klemensa z Ruszycy), ale starałem się, by byli dziećmi swojej epoki i przypominali osoby rzeczywiście zamieszkujące trzynastowieczny Kraków. Niemal wszyscy pozostali bohaterowie *Piastowskiego wabadła*, zwłaszcza

ci u władzy, a więc książęta, księżne, biskupi i wpływowi możni, to postacie historyczne, których biogramy można łatwo znaleźć w monografiach naukowych. Pozostaje jeszcze Piękny Młodzieniec. To też po części postać historyczna, bo chociaż nigdy (ale czy na pewno...?) nie kroczył uliczkami Krakowa, nie wadził się z Tatarami i nie opalał swej bladej skóry na słońcu, to istniał w świecie idei i stamtąd mocno wpływał na świat materialny. A odrzucając platoński dualizm i podążając za scholastyczną metafizyką – nawet jeśli Piękny Młodzieniec nie miał postaci materialnej i jego istnienie ograniczało się do obecności w ludzkich umysłach, to miał przecież formę, dokładnie opisaną przez średniowiecznych dziejopisów. W kronice wielkopolskiej to boży wojownik promieniejący cudownym blaskiem, który prowadzi wojska Bolesława Krzywoustego do boju. U tak zwanego Galla Anonima czytamy o tym, „który zawsze czuwa, a nigdy nie zasnie”, oraz o licznych boskich posłańcach, aniołach bądź świętych, którzy ingerują w proces dziejowy i opiekują się dynastią piastowską. Wielki średniowieczny erudyta Wincenty Kadłubek zastanawia się natomiast nad naturą owego promieniejącego opiekuna wojsk Krzywoustego, przypomina, że również Apollo ukazywał się ludziom pod postacią pięknego młodzieńca, i poucza, że „książęta ciemności i przedzierzgiwali się w aniołów światłości, aby w złotych pucharach tym bezpieczniej móc mieszać trucizny”. W końcu możemy dojrzeć owego Pięknego Młodzieńca na średniowiecznych rzeźbach i obrazach, bo czy przedstawiono kiedykolwiek Chrystusa inaczej niżli jako urodziwego wysokiego mężczyznę o regularnych rysach twarzy? To samo dotyczyło się wielu świętych, ponieważ w średniowieczu hołdowano idei, że doskonałość ducha i umysłu objawia się także

w pięknym ciele. Był więc Piękny Młodzieniec pewną ideą doskonałości, stale obecną w umysłowości człowieka średniowiecza, a kwestię tego, kim on tak naprawdę jest na stronach mojej powieści, pozostawiam bez domknięcia.

Piastowskie wahadło  
Copyright © Łukasz Malinowski  
Copyright © Wydawnictwo Literate  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-366-0  
epub ISBN 978-83-7995-367-7  
mobi ISBN 978-83-7995-368-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Joanna Mika  
Korekta: Małgorzata Tarnowska  
Korekta techniczna: Ewelina Nawara  
Adiustacja autorska wydania i projekt okładki: Marcin A. Dobkowski  
Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak  
Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
sekretariat@literate.pl  
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
www.MadBooks.pl  
www.eBook.MadBooks.pl



## BLUES O KRWI I TRAWIE PAWEŁ CIEĆWIERZ

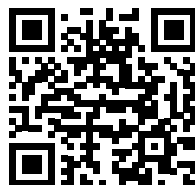
Nadię Wid i Ryszarda Zwierza połączyła sprawa zaginionej dziewczyny, która na krótko pojawiła się w życiu każdego z nich. On, mężczyzna z przeszłością, był bokser, obecnie mało znaczący śląski handlarz ziołem. Ona, kobieta z przyszłością, kiedyś najlepsza dziennikarka śledcza, obecnie celebrytka.

Czy poradzą sobie na śląskiej „ulicy”, na której seks, przemoc i narkotyki spotyka się częściej niż bezpłatne miejsca parkingowe? Czy są w stanie zaufać sobie na tyle, żeby wmieszać się w najbrudniejsze interesy? Co zmieni się,

kiedy sprawa zaginionej dziewczyny nabierze kontekstu politycznego, a bardzo wielu ludzi poczuje się zagrożonych ich docieklivością?

Istnieją miejsca, które piętnują duszę i serce. Istnieją zbrodnie, których nie można wybaczyć i zasady, których nie można złamać!

Ryszard i Nadia mogą ostatecznie liczyć tylko na siebie. Czy tyle wystarczy? Wierność ma w końcu swoją cenę, nieszczególnie wysoką w świecie dilerów i dziennikarzy.





## ZŁE

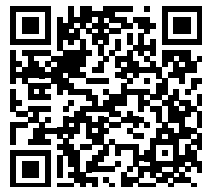
MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

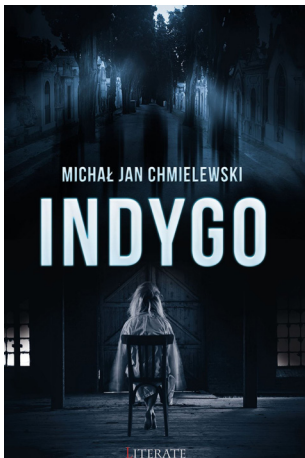
*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,  
a zło zatriumfuje* – Edmund Burke

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziliby się tej opowieści.





INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psychopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza

zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

*Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!*







## FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo może być utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.- Michał Chmielewski, autor *Złe* i *Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBECANE





## PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyjrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też

pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

*Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozbawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.*

Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE

